

Andrzej Walter

Dzień, w którym zgaśnie Słońce

czyli rzecz o prawdziwych artystach

Żyjemy w dość skomplikowanym świecie. Koniec historii nie nastąpił, idee się rozproszyły, demokracja zdefraudowała, a człowiek zdecydowanie zagubił. Z jednej strony obdarzono go dziś bezgraniczną wolnością, aż po jarmarczną swawolę, a z drugiej strony uczyniono zeń trybik w maszynie (tego świata), beznamietnie wytwarzający i potem zachłannie konsumujący własne, obficie oferowane wytwory.

Naruszono każdą zasadę, podważono każdą regułę, poddano w wątpliwość odwieczne prawo naturalne i zanegowano w zasadzie całą hierarchię wartości. Życie wewnętrzne ograbiono z mistycyzmu, wątpliwości oraz dylematów egzystencjalnych. Sprowadzono je do przyswajania i wydalania gotowych i świetnie opracowanych obrazków medialnych, którymi ludzie nawzajem dzielą się hojnie podczas każdego spotkania czy choćby próby dialogu.

Ludzie nie myślą już sami. Na każde pytanie mają właściwie gotową odpowiedź, albo namiastkę odpowiedzi oddalającą meritum sprawy czy problemu, a cóż powiedzieć o jakimkolwiek dylemacie? W tym, o zgrozo, dylemacie moralnym...

Słowo nie ratuje już nikogo, choć nadal zdaje się być narzędziem komunikacji, lecz narzędziem bez wartości, kontekstów i bez przesłania. Słowo również rozproszono poprzez przededefiniowywanie znaczeń, ich rozwadnianie, ich relatywizację oraz defraudację odwiecznych skojarzeń czy sumień. Czy w takim świecie możemy w ogóle podejmować rozmowę o tym, że ... pisarze są potrzebni?

No tak. Komuś tam są potrzebni. Pewna grupa ludzi, że tak to ujmę – starej daty – jeszcze uważa i uznaje pisarza za wzór i autorytet, jeszcze chce czerpać z jego ciężkiej i żmudnej pracy uznając lekturę za kuźnię wyobraźni oraz szansę ocalenia ze stechniczowanej rzeczywistości. Intymność tej lektury jednak sprowadziła ją do katakumb i nisz współczesności. Uczyniła ją jedną z mniej atrakcyjnych rozrywek wybieranych z listy przebogatej różnorodnością modeli spędzenia wolnego czasu i przeżycia tegoż życia. Co więcej – w przestrzeni publicznej, łatwo i powszechnie dostępnej, niejednokrotnie wyśmiano i wyszydzano taką formę spędzania czasu jako anachroniczną i nudną. Do tego system edukacji młodych pokoleń zaprzestał męcznienia „biednych dziątek” „ciężkimi Norwidami” i tym podobnym chłamek propagując cywilizację skrótów, uproszczenia, streszczenia i testu, w miejsce cywilizacji myśli, refleksji, duchowego przeżycia i wnikiwania w głąb istoty wszelkiej rzeczy. Ma być szybciej, prościej, efektywniej i praktyczniej. Trudno się zatem dziwić, że pisarz stał się pewnego rodzaju dziwolągiem, efemerydą, zgola mało potrzebną społecznie, a jeśli już,

to jako komercyjny producent i dostarczyciel rozrywki, a nie artysta, mogący poddawać w wątpliwość obłąskawione ciepłko.

Dziś rewolucjonistą wartości i poglądów (jeżeli możemy kalkowanie obrazków nazwać poglądami) może być szybciej i prędzej prezenter ze szklanego ekranu, niżli zamknięty w swej jamie wytwórca coraz mniej powszechnie zrozumiałych słów...

Jeśli już ktoś lub coś ma nas poruszyć i nami wstrząsnąć będzie to raczej medialnie znany osobnik, którego kontrowersyjny sąd zostanie powielany w sieci, bądź w innej multiplikowanej technologicznie przestrzeni głoszenia sądów, czy ich wypuszczania w eter, niż jakaś tam książka, leżąca i kurząca się na półce, albo jej autor, nieznanie prawie nikomu indywiduum, nieobyte medialnie i publicznie, proponujące: spokój, wyciszenie, przemyslenie, lekturę i rozwałę nad treścią, nie taką łatwą w końcu w odbiorze i percepcji.

Smutne czasy nastały dla takich twórców. Ich wyborem jest prostytucja względem potęgi kapitałowej koncernu, który zajmie się produkcją, dystrybucją i lansem, a w ogóle jej szansą oraz „zaszczytem” „wstępu na salony”, wobec zamknięcia się w ślimaczej muszli swojej sztuki, którą tworzy się raczej sobie a muzom... bardziej ku potrzebie wewnętrznej...



Rys. Barbara Medajska

Twórca XXI wieku ma prosty wybór (i wybaczenie dosadność) – kurewstwo albo sztuka, przy czym to pierwsze początkowo też nie jest dostępne każdemu, należy prze-

cież dostąpić wtajemniczenia – koncern sam wybierze najbardziej optymalne zespolenie cech kandydata, najlepiej był na tyle: obły, plastyczny sterowalny i na tyle cięły, aby koncern mógł nim łatwo i bez zaburzeń sterować marketingowo, wizerunkowo czy stylistycznie. Właściwie treści, w właściwym miejscu i właściwym czasie – wpisujące się w perfekcyjnie i idealnie w aktualnie dobrze sprzedawalną koniunkturę kulturalną... Niczego nie zostawia się dziś przypadkowi. Wszystko jest przeliczone, zbadane i zaplanowane. Nakłady mają przynieść zyski, a złote żniwa same potem będą spływać do dobrze przygotowanych spichlerzy rządów współczesności.

Tak, tak. To realna i faktyczna ocena rzeczywistości. Dzielący się słowem artysta, artysta sztuki niekomercyjnej, wyższej, a wręcz najwyższej nie ma tu racji bytu. Nieakceptowalna jest jego wolność, nieprzewidywalność i arogancja wobec merkantylizmu maszynierii medialno-wydawniczej. Wobec cynizmu, wyrachowania i plastycznej elastyczności pociągających za sznurki. Przy najmniej na początku...

Czy nadal będziemy pytać – czy pisarze są potrzebni? Owszem, są. Właściwi pisarze, na właściwym miejscu i z właściwą sobie mentalnością są potrzebni, nie, nie nam, czytelnikom, tylko tym „pociągającym za sznurki”. Tym zakulisowym potworem, złotoustym hipokrytą, którzy decydują jak zainwestować w kulturę. Kultury się dziś nie tworzy – w nią się inwestuje. A inwestycja, wiadomo, ma być zyskowna. Niby już napisano o tym wiele. Wciąż chyba zbyt mało, albo inaczej, tamte siły są tak ogromne, że skutecznie zaciemniają obraz, rozmywają punkty odniesień i fałszują rzeczywistość. Kroją z rozmachem tort „bestsellerów”, i wciskają nam kit, który masy bezrefleksyjnie łykają, jak pigułki gwałtu. Kultura dziś to mikstura produktu z PopArtem i wyczelowany ersatz zaspokajający „grupę docelową”. A prawdziwa kultura – w zapuszczonych, albo opuszczonych przez publiczność, podupadłych salkach, w niektórych bibliotekach, trudna do wyszukania, bez środków, bez wsparcia, bez szans na dotarcie do odbiorcy.

Do tego wszystkiego lektury łatwe, lekkie i przyjemne nakręcają samoistnie dalszą koniunkturę (na tym coraz węższym rynku) i coraz bardziej ułomnym i nieoczytanym pseudointelektualistom dają poczucie bycia tak zwaną czytającą elitą. Rynek nie zna próżni. Macherzy zza kulis idealnie go już przeliczyli i podzielili. Nawet nazwali między sobą. Produkt został idealnie skrojony i zaspokaja potrzeby nawet najbardziej wysublimowane – tak działa ten mechanizm. W tym świecie, który opisałem na wstępie nic nie może się zmarnować. Wszystko na czym można zarobić... się robi.